

Wiadomości Polskie

POLITYCZNE I LITERACKIE • TYGODNIK • THE POLISH NEWS

Redakcja: 229/231, HIGH HOLBORN, LONDON, W.C.1 (tel.: CHAncery 6128). Administracja: 9, NEW OXFORD STREET, LONDON, W.C.1 (tel.: HOLborn 0868). Prenumerata: kwartalnie w Anglii 12s., w innych krajach 3s. Prosimy o przekazywanie należności, za prenumeratą czekiem lub „Postal Order” na zlecenie: M. I. KOLIN (Publishers), LTD. Ogłoszenia przyjmują Advertising Offices, THE CARLTON BERRY CO., 437, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.O.2 (tel.: ABBey 5108).

PORUCZNIK HERBERT

Ś W I E T E B O M B Y

Pierwszy tydzień sierpnia 1942 r. był dla nas i dla „Genowefy” bardzo męczący: Hannover, Kolonia, Lubeka i dwukrotnie Hamburg. Pięć wypraw w ciągu siedmiu nocey... W dodatku latali z nami na te wyprawy kolejno aż trzech strzelcy przedni, ponieważ Bujak „utleniał się” w izbie chorych pod opieką naszego konowala.

Stawka, inne grają ostrożnie, inne używają wybiegów przeciw zmiennemu losowi, jeszcze inne wierzą w fatum, które tą gra rządzi. Na „Genowefie” zaś jest tak, że każdy z nas myśli trochę inaczej, ale zgadzamy się w sumie doskonale. Zaczynając od przodu — Bujak jest optymistą: bez względu na to jakichś poleciał, dany Niemcom szkole i nie się nam nie stanie; Góral wierzy w światła, że jeśli dotąd żyjemy, to wyłącznie dzięki jego wykrętasom i lotom w chmurach; Merkurj powiada, że do celu najlepiej nie lecieć wogóle, a gdy już koniecznie trzeba — wszystko jedno jak, byle prędko; natomiast wrać lubi wysoko i prostą drogą; Zygmunnt powoduje się precyzjami; Kozia wierzy w swoje radio i w Opatrzność; kłnie i modli się naprzemiennie; wreszcie ja — podzielał potrosze przekonania ich pięciu, a naderwziętości ufać, że dany sobie radę, bo — niema co ukrywać — załoga jest doręczna.

„Genowefa” przysiadła i toczy się, cała rozdygotana, przycimając, niemal pokonana przez siłę przyciągania ziemni. Ale — gdyby się teraz poddała — nie starczy już lotniska na wytracenie pedu. Więc, posłuszna sterom, gna dalej naprzód. Teleskopowe człony golemi tępo uderzają o siebie na każdej nierówności betonu. Ściegna drgają i dźwięczą, jakby miały lada sekunda pęknąć. Silniki zdają się wyłamywać z łożysk, a wibracja kadłuba trzęsie wszystkie instalacje, które dostały febrę i dzwonią szkłem i metalem. „Genowefa” cierpi, lecz musi wyżyć w powietrze albo roztrzaskać się w kawałki... „Genowefa” ciępi... Taki start, start z takim obciążeniem, pownie jest dla niej okrutna próba. Czują tę straszliwą mękę wybijanych stawów, że szarpnięcie ściegien, te skrzydła kadłuba i omdlenia skrzydeł, bulgot wypełnionych zbiorników, stękanie wtryskiwaczy, opychanych bombami, ciężkich, nadzwyczajnych podskoków na wybojach, że bolesna cisnienie nerwów nadstojacji — lamp i anten. To musi być okropne... Ale maszyna musi to wytrzymać, jeśli ma nadal istnieć.

„Genowefa” pławi się w żywym srebrze elektryzacji i sieje smugi lśniącego pyłu, cała w aureoli wylądowań, drgająca, nie-zręczystwa, jak zjawą, która może roziać się i zniknąć. — 8 000 stóp — chrypi głos Merkurjego. Bujak zawiadamia nas ze swego przedniego stanowiska, że „jeszcze w życiu swoim czegoś takiego nie widział”, na co Góral odpowiada opryskliwie: — To się przygadają. Ta krótka wymiana słów wraca mi poczucie rzeczywistości; lecimy na Wilhelmshaven; to nie jest sen z palarni opium, tylko jawa. Góral irytuje się, że nie może wyciągnąć maszyn wyżej. Nie go nie obchodzi niezwykłe zjawiska burzy magnetycznej w luce między chmurami. Kozia martwi się o radio, które zwarowało w tych warunkach, a Zygmunnt z całą swoją wiedzą nawigacyjną jest jak tabaka w rogu, bo — ani namiarów, ani ziemi, ani gwiazd.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po kilku dniach Bujak wrócił. Powitaliśmy go z radością, bo się już wszystkim do nierobstwo sprzykrzyło, a Niemcom właśnie miało składać nocną wizytę w dywizjon w Wilhelmshaven, gdzie nas jeszcze nie było. Oblataliśmy przed południem naszą „Genowefę”, sprawdziliśmy przewody tlenowe, uzbrojenie i przyrządy, po podwieczorku zaś ruszyliśmy w bojowym nastroju na odprawę. Odprawa — jak odprawa: każdy specjalista myśli, że najważniejsze jest to właśnie, o czym sam mówi. Ale robota — ważna robota — zaczyna się dopiero po odprawie. Studujemy komunikat meteorologiczny, kombinujemy trasę, dobieramy wysokości na poszczególne jej odcinki, poczem setki cyfr zapalniają log Zygmunta.

Wreszcie po kilku dniach Bujak wrócił. Powitaliśmy go z radością, bo się już wszystkim do nierobstwo sprzykrzyło, a Niemcom właśnie miało składać nocną wizytę w dywizjon w Wilhelmshaven, gdzie nas jeszcze nie było. Oblataliśmy przed południem naszą „Genowefę”, sprawdziliśmy przewody tlenowe, uzbrojenie i przyrządy, po podwieczorku zaś ruszyliśmy w bojowym nastroju na odprawę. Odprawa — jak odprawa: każdy specjalista myśli, że najważniejsze jest to właśnie, o czym sam mówi. Ale robota — ważna robota — zaczyna się dopiero po odprawie. Studujemy komunikat meteorologiczny, kombinujemy trasę, dobieramy wysokości na poszczególne jej odcinki, poczem setki cyfr zapalniają log Zygmunta.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur. — Widzę gwiazdy! — woła Bujak. Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Zato widzę w dole coś jakby fale na morzu. Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wspaniami, na prawo zaś, o cztery pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równoległe do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkurj melduje: 9 000, 10 000, 11 000... Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerji wszystkich kalibrów. — A co będzie nad celem?... To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zdaje sobie takie pytanie i każdy stara się je myślnie odpedzić: może uda się wejść choćby na 15 000—16 000?... Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tem trzewem stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem: — Mam prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach! — Możemy skrócić o 90° w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze! — Powinniśmy zawrócić! Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział kotłowiak.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Na śmierć Wieniawy

Noc wlecie się niejasna, i gubi się droga, Jakże trudna śród ludzi i jak wobec Boga. Noc dłuży się, i widma się schodzą na jawie: Spaliły się królewskie komnaty w Warszawie. Noc jest pełna zamętu, rozpacz i swarów, Jeden cień się nie rozwił, przystał do standardów. Jeden cień, co był żywy, na wojnę wiódł sławną, Na Kielce i na Wilno. Ach, jakie to dawno! Jak przebić się w tę młodość, jak wrócić po swoje, Gnać przez błonia, w tormistrze układać naboże! Pieśni śpiewać i znowu się w bitwie meldować, Ciemna nocy, jak tś tam? Odpowiedz i prowadź. Huczy zamęt. To wojna. Zajęczał rykoszet. Ludzie giną. Spakował tormistr i poszedł. Nie powiodła go pylna śród wierz srebrynych droga, Ciemno było dla ludzi, lecz jasno dla Boga. Wybrał ziemię nie naszą i brozję nie swojską, Obcy cmentarz i obce zęgnało go wojsko. Leczył on jaśniał, szedł w młodość, powracał po swoje. ... Ktoś po sarkof podnosił z murawy naboże.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

JAN ROSTWOROWSKI

Słowo powracające

Spozycywało w niej życie rozkwitłe przed chwilą, Cały dom chodził wokoło ostrożnie, na palcach, Aby, gdy się różowe firanki rozchyla, Wzrokiem ciepłym, jak uśmiech, popatrzyć na malca. Z początku nie wpuszczano nikogo prócz taty, Potem krewini jeździł zdaleka i zbliska: „Patrzcie, jakie ma włoski, oczęta, jak kwiaty!” I w kwiatkach spoczywała piastunka — kolyska. Kolyska! — mój Ty Boże! — jak tęskniłem do niej, Lekroć życie mocniej siepało po twarzy; To był dom, wóń ogrodu, cud malczyńskich dloni, Wszystko to co nie wraca, a jednak jest marzy. Przyszła wojna, pół świata zmieszala z popiołem, Ptaki wiołów szczęśliwych postracała z nieba; Szedłem przez świat z przedwczesnym poóranem czolem I z myślą skotatana, prapolską: „Tak trzeba”. I wtedy — mocny Boże! — wtedy cię spotkałem Nazwo, strumieniem kwiatów spadła z tamtej strony, Wtedy, gdy zgrzewowane ciekawie przed dziełem Zimną wiedzę o bronii zgłębiały działy. Stary ogniomistrz prawil ważne jakieś dziwa I trzcinka pokazywał: „Pamiętać mi wszystko. Miejsce, na którym była wygodnie spoczywa, Zwie się, względem logicznej przyczyny, kolyską”. Więc tak do mnie powracasz, że szałoch zęby ścisła, A słony skurcz zapłata palce wokoło krtań... Więc to jest (ciszej, serce), więc to jest kolyska! „Ej wojenko, wojenko. cóż ty za pani!”

JAN ROSTWOROWSKI.







